

III. ROZMOWY W REDAKCJI

Z Profesorem Kazimierzem Orzechowskim rozmawia Henryk Olszewski

Profesor Kazimierz Orzechowski jest wybitnym historykiem prawa, badaczem przeszłości Śląska, jego dziejów społecznych, organizacji jego systemu politycznego, historii skarbowości. Światowy rozgłos przyniosły mu prace z zakresu historii śląskich zgromadzeń stanowych. Urodził się w 1923 r. we Lwowie w rodzinie inteligenckiej. Tzw. małą maturę uzyskał w X Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza we Lwowie tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej. Egzamin dojrzałości złożył w teże szkole, przemianowanej przez władze sowieckie na XVI Szkołę Średnią z polskim językiem nauczania. W czasie hitlerowskiej okupacji Lwowa pracował jako robotnik, uczestnicząc równocześnie w tajnym nauczaniu na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jana Kazimierza. Po opuszczeniu Lwowa przez Niemców podjął studia na Uniwersytecie im. Iwana Franki na filologii klasycznej. Od 1946 r. kontynuował studia prawnicze na Uniwersytecie Wrocławskim. Ukończył je w 1949 r., by w następnym roku doktoryzować się na podstawie pracy o polskim szkolnictwie powszechnym na Śląsku Opolskim w latach 1922–1937. Stopień doktora uzyskał w 1957 r. na podstawie rozprawy pt. *Chłopskie posiadanie ziemi na Górnym Śląsku u schyłku epoki feudalnej. Posiadanie lassyckie. Studium historyczno-prawne*, opublikowanej przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich w 1959 r. W 1962 r. został profesorem nadzwyczajnym, w 1976 r. – profesorem zwyczajnym. W 1968 r., po śmierci Mistrza, profesora Seweryna Wystoucha, objął kierownictwo Katedry Historii Państwa i Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego, zaś w rok później Instytutu Historii Państwa i Prawa, którym kierował aż do osiągnięcia wieku emerytalnego. Rozwinął także żywą aktywność społeczną; przez dwie kadencje był posłem na Sejm. Głównym polem działania pozostała jednak dla Profesora Kazimierza Orzechowskiego praca badawcza. Wśród ponad 400 prac zwracają uwagę jego pozycje monograficzne: *Ogólnośląskie zgromadzenia stanowe* (1979), *Katastry śląskiego podatku szacunkowego, 1527–1740* (1992), *Rachunki śląskich stanów, 1527–1741* (1994) oraz *Podatek szacunkowy na tle systemu daninowego dawnego Śląska 1527–1740* (1999). Profesor Kazimierz Orzechowski jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności; Najczynniej współpracuje z „Czasopismem Prawno-Historycznym”, którego członkiem Komitetu Redakcyjnego jest od 1972 r. Nadal służy Wydziałowi i całemu środowisku swym wielkim doświadczeniem badacza i nauczyciela akademickiego. Bibliografia prac naukowych Profesora K. Orzechowskiego za lata 1949–1992 pióra Bożeny i Józefa Koredczuków zawarta jest w Acta Universitatis Wratislaviensis, No 1477, Prawo CCXXII, s. 13–32, za lata 1992–2002 zaś w drukowanym obecnie tomie „Studiów Historyczno-Prawnych” w ramach serii Acta Universitatis Wratislaviensis.

H.O.: Szanowny Panie Profesorze, drogi Kazimierzu! Nasza rozmowa będzie oscylowała wokół tematyki Twoich badań, Twoich publikacji, tajników

warsztatu historyka prawa, znaczenia wiedzy źródłowej, roli wrocławskiego środowiska historycznoprawnego w powojennej historii naszych dyscyplin, historii Śląska, który jest niekwestionowanym bohaterem Twoich badań. Ale zacznijmy ją od początku, którego metryka jest starsza od Twoich związków ze Śląskiem. Kiedy stanąłeś – latem 1946 r. – we Wrocławiu, zamieniając studia konspiracyjne na normalne prawnicze, miałeś już za sobą dwie epoki, jakże się od siebie różniące: dzieciństwo we Lwowie w domu o starannie pielęgnowanych tradycjach humanistycznych i patriotycznych a także lata nauki w świetnych lwowskich szkołach oraz czas grozy i bezprawia radzieckiej, niemieckiej i ponownie radzieckiej okupacji. Należysz do pokolenia, któremu wojna zabrała młodość, narzuciła twardą walkę o byt, utrudniła kontynuowanie nauki, skazała na poważne opóźnienie życiowego startu. Czy już wtedy – w latach trzydziestych i w czasie okupacji – dojrzywał w Tobie zamysł zostania prawnikiem, badaczem historii prawa?

K.O.: Trudno na to pytanie, a właściwie na cały ich szereg, odpowiedzieć jednoznacznie. Pamiętam, że w domu był komplet „Przeglądu Prawa i Administracji” pod redakcją Ernesta Tilla, było też pierwsze wydanie „Korony” Stanisława Kutrzeby. Ale to wszystko nie wywierało na mnie jakoś wrażenia. Co więcej, w gimnazjum ani historię ani łaciną nie interesowałem się zupełnie. Po odejściu „pierwszych bolszewików” musiałem zarabiać na utrzymanie rodziny. Pracowałem w niemieckich warsztatach samochodowych. Moja niania, Katarzyna Lonc z Markowej spod Łańcuta, która przyszła do moich rodziców zaraz po moim urodzeniu i pozostała u mnie aż do śmierci, powiedziała mi kiedyś: „Dziecko, gdyby nie ten warsztat, nigdy byś nie wyszedł na ludzi” – bo dopiero wtedy nauczyłem się starannej pracy. W czasie hitlerowskiej okupacji, za dziewczyną, w której byłem okrutnie zakochany, późniejszej mojej żony, zacząłem studiować prawo na konspiracyjnym Uniwersytecie Jana Kazimierza. Spotykaliśmy się w małych grupkach; najczęściej u Wacława Osuchowskiego w jego kancelarii, często u Kazimierza Przybyłowskiego i Wojciecha Hejnosza. Za „drugich bolszewików” dla tej mojej dziewczyny poszedłem na klasyczną filologię na Uniwersytecie im. Iwana Franki, jak przemianowano UJK. Dobrze pamiętam jeszcze referat, który o *Maenechmich* Plauta pisałem wówczas u Ryszarda Ganszyńca. Później jednak już tych studiów klasycznych nie kontynuowałem, pozostałem przy prawie. W 1946 r. w ramach tzw. repatriacji znaleźliśmy się w Gliwicach. Trzeba było podjąć systematyczne studia, jako że we Lwowie nie zaliczyłem nawet pierwszego roku. Mając do wyboru Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet we Wrocławiu wybrałem ten drugi i okazało się, że była to decyzja dla mnie szczęśliwa.

H.O.: Wrocław tamtego roku to przecież przede wszystkim gruzy, góry gruzów.

K.O.: Tak, ale z tych gruzów już wyłonił się Uniwersytet, połączony w jedną uczelnię z Politechniką. Byli już wtedy we Wrocławiu profesorowie z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i lwowskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza: Seweryn Wysłouch, Michał Wyszyński, Wacław Osuchowski, Iwo Jaworski, Leszek Winowski, by wymienić tylko historyków prawa. Słuchaliśmy wykładów w pomieszczeniach bez okien, a straż akademicka, chroniąca skromne mienie Uczelni, właśnie przestała paradować z karabinami. Moja przygoda z Uniwersytetem i nauką zaczęła się od egzaminu u Profesora Wysłoucha z historii ustroju Polski, którego nie zdałem we Lwowie. Na jakieś pytanie odpowiedziałem wedle podręcznika Kutrzeby, co Profesor przyjął, ale ja zapytałem wtedy o Sejm Czteroletni Kalinki, gdzie rzecz ocenił autor inaczej – i Profesor zaczął mnie dalej, teraz już o Kalinkę, wypytywać. Później poprosiłem go o pomoc (bo nie bardzo mieliśmy z czego we Wrocławiu żyć) i załatwił mi posadę woźnego, w swojej katedrze. Prawdziwa przygoda zaczęła się, gdy Profesor wysłał mnie do Opolu, gdzie znajdowało się niezniszczone archiwum rejencji. I to był mój pierwszy kontakt z archiwalią. Z początku byłem kompletnie zagubiony wśród masy półek, pełnych pajaków i pajęczyn, ale w końcu – raczej przypadkiem – „dokopałem się” do „Minderheitspolitische Lageberichte”, dotyczących polskiej ludności Górnego Śląska. Ściągnąłem je potem do Wrocławia, do Katedry. Dzisiaj znajdują się z powrotem w Opolu, w tamtejszym Wojewódzkim Archiwum. Ale przedtem, gdy mi Uniwersytet zwrócił koszty podróży, mogłem sobie wreszcie kupić pierwsze po wojnie nowe buty.

Inna moja przygoda z nauką powiązała się jednak istotnie w jakiś sposób z gruzami, o których wspominałeś. Mianowicie to z kubłów ze śmieciami, stojących wśród gruzów na ul. Kuźniczej, wyciągnąłem dwie stare mapy Śląska, Scultetusa i Hellwiga, a także kilka dokumentów ksiąg legnicko-brzeskich z połowy XIV w., i to na nich uczyłem się potem paleografii. Obok rektoratu Uniwersytetu, w sławnym Domu Steffensa (dawnym jezuickim konwiktie) była w tamtych latach składnica, do której zwożono porzucone niemieckie księgozbiory. Profesor kazał nam tam szukać niemieckiej literatury historycznoprawnej. Rzeczywiście znalazłem tam szereg „dutek”, czyli sądowych legnickich ksiąg z końca XIV i z początków XV w. To dopiero była przygoda.

H.O.: Pomówmy o Sewerynie Wysłouchu. Wielu moich wrocławskich przyjaciół i kolegów mojego pokolenia w każdej rozmowie niezmiennie podkreśla, że był dla tamtejszego środowiska historyczno-prawnego mężem opatrnościowym, nadzwyczajnym człowiekiem, prawdziwym Mistrzem, że był we Wrocławiu tym, kim w Poznaniu był Zygmunt Wojciechowski. Jaki był i dlaczego właśnie on cieszył się największym mirem wśród adeptów nauk historyczno-prawnych?

K.O.: Był szorstki w obejściu, nie okazywał uczuć; znany był z impulsywności w słowie. Wiele wymagał od siebie, ale też od innych. Żądał np., by Katedra stanowiła drugi dom, by pracownicy przebywali w niej od 8.00 do 22.00. Przestrzegał hierarchii w formach odziedziczonych po swoich przedwojennych mistrzach, co nie przeszkadzało mu w latach odbudowy miasta i wznoszenia Uniwersytetu dawać przykładów fizycznego zaangażowania; potrafił np. z nami – ze mną i Lesiem Małachowskim (razem w Katedrze pracowaliśmy) ciągnąć przez centrum Wrocławia wózek z wygrzebanymi gdzieś starymi regałami, abyśmy mieli gdzie ustawić gromadzone książki. A przy tym ujmował życzliwością dla ludzi, pomagał im, ilekroć się doń o pomoc zwrócono. Bronił swoich uczniów, o czym sam nieraz się mogłem przekonać na własnej skórze. Miał autentycznie demokratyczne przekonania i na Uniwersytecie Stefana Batorego uchodził za przedstawiciela lewicy. Pamiętam, że ilekroć organizacja partyjna dokonywała przeglądu kadr, zawsze mnie chcieli wyrzucić, widząc we mnie klerykała. Gdy sprawa stała już na ostrzu noża, Profesor Wysłouch udał się do ówczesnego ministra Skrzyszewskiego i bronił mnie mniej więcej tak: „Widzi Pan, ja kiedyś byłem komunistą, a dziś nim nie jestem; Orzechowski też się może zmienić”. Krótko mówiąc, Seweryn Wysłouch był niekwestionowanym liderem w środowisku, narzucał posłuch, choć nigdy za pomocą metod administracyjnych. Pamiętam, że kiedyś natrafiłem na ciekawe źródło, które w nowym świetle stawiało pozycję chłop-lassyty. Natychmiast chciałem wynik moich spostrzeżeń opublikować i zaniósłem maszynopis Profesorowi do przeczytania; jeszcze wtedy panował taki dobry akademicki obyczaj. Profesor tekst przejrzał, popatrzył na mnie i zapytał, czy moje „odkrycie” to przejaw ogólnych zasad prawa, czy też od nich wyjątek. Odpowiedziałem, że jednoznacznie to z tekstu źródła nie wynika. Wtedy Seweryn Wysłouch zabronił mi to drukować, kazał wrócić do archiwum i tak długo szukać, aż znajdę pewność, z czym mam do czynienia.

H.O.: Czy był też twórcą naukowej szkoły? Czy szliście na nim, bo był badaczem, który „zarazał” tematyką i rezultatami swych prac?

K.O.: Oczywiście, że taki wpływ istniał, choć czasem był dostrzegalny tylko pośrednio. Doświadczenia Profesora sprzed wojny, kiedy to – jako lituanista – włączał się czynnie w politykę Drugiej Rzeczypospolitej w stosunku do ludności białoruskiej, zdecydowały – myślę – o tym, że grono młodych Wrocławian – a wśród innych ja – zajęło się rzetelnie badaniem spraw ochrony mniejszości polskiej na Śląsku po pierwszej wojnie światowej. Przykładem oddziaływania Mistrza był przecież mój doktorat, nie tylko zresztą on jeden.

Prace przedwojenne Profesora wpływały na mnie również znacznie później, gdy już marzyła mi się historia ustroju Śląska i gdy prowadziłem już

pewne prace przygotowawcze. Ongiś bowiem zafascynowały mnie historyczno-geograficzne teksty Profesora o dawnych drogach Polesia (z którego pochodził), o kształtowaniu się granic powiatu kobryńskiego, o tym, jak dawne wewnętrzne granice były wyznaczone przez rozmieszczenie wielkiej i średniej własności ziemskiej, o komunikacyjnych usługach litewskich miast. Nieraz Profesor – na moją prośbę – o tych sprawach rozmawiał, również z uwzględnieniem aspektów teoretycznych. O całe lata później stały się one zaczynem dla moich studiów nad terytorialnymi podziałami na Śląsku od wczesnego średniowiecza aż po XX wiek.

H.O.: Wracam jeszcze do poglądów szkoły, szkoły Seweryna Wysłoucha. Czy istotnie była ona odporna na presję polityki, czy podejmując badania nad przeszłością Śląska wykazywała dystans wobec oficjalnej tezy polityki polskiej o powrocie na ziemię, które pierwotnie były polskie, piastowskie. W laudacji wygłoszonej przez Seweryna Wysłoucha na uroczystości trzydziestolecia pracy naukowej Zygmunta Wojciechowskiego, która odbyła się pod koniec czerwca 1955 r. w Poznaniu, mowa była o badaniu przeszłości Ziemi Odzyskanych jako patriotycznym obowiązku nauki polskiej.

K.O.: Wysłouch i my, jego uczniowie do swych prac w zasadzie nie wprowadzaliśmy pozanaukowych uwag, chyba że było to treścią uzasadnione. Oczywiście nurtował nas problem narodowościowy na Śląsku, ale staraliśmy się go nie przedstawiać w kolorach biało-czarnych. W spojrzeniu na przeszłość Śląska dominowało przekonanie, że ziemia ta to teren pogranicza, w którym barwy czarno-białe nie wystarczają i nie oddają istoty rzeczy. Badaliśmy problem tzw. autochtonicznej ludności czyli po prostu Ślązaków-Polaków oraz tutejszych Niemców, jeszcze pozostałych, konkretniej zaś – Ślązaków-Niemców. To pozwalało spoglądać również na przeszłość Śląska przez okulary inne niż jałtańsko-poczdamskie. To że w tekstach Franciszka Ryszki, Józefa Popkiewicza, Karola Joncy, Alfreda Koniecznego i innych naszych autorów wciąż wracano do polityki Trzeciej Rzeszy na Śląsku, do zbrodni nazistów, do obozów koncentracyjnych, do konfrontacji i bezprawia, wynikało nie z politycznych infiltracji, ale ze źródeł, zawierających dowody świadczące o konfrontacjach wywoływanych przez reżim totalitarny.

H.O.: Przejdźmy do tematów Twoich badań, których niekwestionowanym bohaterem był Śląsk, najpierw tylko Górny, z czasem – cały. Ich ewolucja jest niecodzienna. Prowadzi od spraw szkolnictwa do spraw statusu prawnego chłopów, od historii zgromadzeń stanowych do skomplikowanych kwestii skarbowych. Niezwyczajne jest – w moim odczuciu – nie tyle to, że przeszłości Śląska poświęcona jest każda z ponad czterystu Twoich prac, bo w istocie są to studia daleko wykraczające poza historię regionu, ile fakt, że każda z nich zawiera konstatacje oparte na nowym materiale źródłowym, zmu-

szającym do nowych przemysłów. Czytelnik Twoich tekstów nie ma wątpliwości: Kazimierz Orzechowski kocha same dociekania; publikowanie ich rezultatów ma – jego zdaniem – sens tylko wówczas, gdy łączy się z przeświadczeniem, że kwerenda została przeprowadzona w sposób wyczerpujący.

K.O.: Zaczęło się od studiów nad dwudziestowiecznymi aktami opolskiej rejencji. Pewnego dnia czytałem w Katedrze (formalnie wciąż jeszcze byłem woźnym) posyty dotyczące polskiego mniejszościowego szkolnictwa na Górnym Śląsku, kiedy wszedł Profesor i usiadłszy po drugiej stronie stołu zapytał, co robię. Odpowiedziałem, że marzy mi się „dyplomatiusz”, dotyczący spraw górnośląskiego szkolnictwa. Fakt, że termin „dyplomatiusz” był zupełnie nie na miejscu, uświadomiłem sobie dopiero później. Profesor odrzekł: „Dobrze! Zrób źródłowe wydawnictwo i napisz doktorat na ten temat”.

Zrobiłem jedno i drugie, choć ani zbiór źródeł ani doktorat o polskim szkolnictwie powszechnym na Śląsku Opolskim w latach 1922–1939 nie ukazały się w całości, lecz tylko we fragmentach.

Potem przez dziesięć lat zajmowałem się sprawami ludności chłopskiej. Początkowo tylko czytałem, ale literatura wydawała mi się mało ciekawa, aż do chwili, w której spostrzegłem, czego mi w niej brakowało: mianowicie prawniczego spojrzenia na rzecz, przy bezwzględnej dominacji problematyki gospodarczej, społecznej i politycznej. A przecież wielkie te procesy były bez reszty wpisane w ówczesne prawo i jego przemiany. Szczęście się do mnie uśmiechnęło, kiedy natknąłem się na akta Generalnej Komisji dla Śląska, władzy powołanej dla przeprowadzenia reform w rolnictwie, czyli krótko mówiąc – tzw. uwłaszczenia. Były tam umowy dotyczące różnych spraw i wiele wyroków w toczących się sporach. Innymi słowy: dotarłem do źródeł obrazujących funkcjonowanie prawa w całej jego złożoności. Jeszcze wcześniej znalazłem w księgozbiorach tzw. porzuconych, składowanych w Domu Stefensa periodyk z drugiej i trzeciej ćwierci XIX w., poświęcony tzw. Landeskulturgesetzgebung, a także fundamentalną dla mnie książkę Kocha, radcy wrocławskiej rejencji *Die Agrar-Gesetze des Preussischen Staates nebst Ergänzungen und Erläuterungen* z 1838 r. Miałem więc w zasięgu ręki wszystko, co niezbędne do spojrzenia na te sprawy oczyma prawnika, historyka prawa. Najpierw starałem się poznać i usystematyzować szczegółowe drogi stosowane przy realizacji reformy rolnej. Napisałem *Postępowanie uwłaszczeniowe na Górnym Śląsku*, wydrukowane przez Zygmunta Wojciechowskiego w „Przeglądzie Zachodnim”, z którego – jako wiadomo – po pewnym miały się wyodrębnić „Studia Śląskie”, redagowane przez mojego Profesora. Następnie opracowałem – na próbę, do szuflady – dzieje reformy jednej z wsi, aby uzmysłowić sobie, czy można ująć cały problem w skali powiatu. Tak powstała rozprawa *Uwagi o przebiegu i rezultatach uwłaszczenia w powiecie kozielskim na Górnym Śląsku* (1952). Badaniami moimi za-

interesował się wtedy prof. Juliusz Bardach, który zaproponował mi podsumowanie moich kwerend na łamach „Czasopisma Prawno-Historycznego”. Uczyniłem to tekstem *Przekształcenia praw chłopów do ziemi na Górnym Śląsku w końcu XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku* (CPH VI, 1954, 1). Wkroczyłem nim na szerokie wody historii prawa i po raz pierwszy poczułem specyficzny „smak” uogólnień i dążeń do syntezy.

To moje ciągle „grzebanie się” w źródłach dawało też wyniki zgoła nieoczekiwane. Oto np. w dawnej i nie tak dawnej literaturze (Langer 1849, Schueck 1849, później nawet Ziekursch 1915) przyjmowano jako pewnik, że na Górnym Śląsku niepodzielnie panowały najgorsze chłopskie prawa do ziemi, czyli tzw. posiadanie lassyckie. Oznaczało to, że regulacja czyli uwłaszczenie w dosłownym znaczeniu powinno było objąć wszystkie gospodarstwa kmiecie i zagrodnicze. Tymczasem z akt Komisji Generalnej, w całości zachowanych, wynikała zaskakująco niska liczba dokonanych regulacji. W odnośnych umowach nakazywano zakładanie dla każdego „uregulowanego” gospodarstwa osobnego folium w wiejskich księgach gruntowych – i w tym dostrzegłem szansę. Dawne księgi gruntowe z kozielskiego powiatu znajdowały się w sądzie powiatowym w Raciborzu. Pojechałem tam i dosłownie oniemiałem. Początkowe tomy hipoteki kozielskich wsi otwierały folia gospodarstw chłopskich, głównie kmiecych, będących już od lat chłopską własnością; podległą wprawdzie – na prawach własności podzielonej – ale jednak własnością. Dopiero po nich następowały folia „regulowanych” gospodarstw. Wypisałem je wszystkie (luki były na szczęście znikome), zliczyłem, dodałem do nich liczbę dokonanych regulacji i dopiero wtedy otrzymałem wielkości w przybliżeniu zgodne ze statystykami z ostatniej ćwierci XVIII i pierwszej XIX w. Oszołomiony świetnymi możliwościami natychmiast odwiedziłem wszystkie powiatowe sądy Górnego Śląska i wnet dysponowałem pełnymi danymi o liczebności i rozmieszczeniu chłopskiej własności podległej na całym obszarze Górnego Śląska przed reformą. Dane te opublikowała „Sobótka”, zaś rozważania o księgach i aktach śląskiej hipoteki jako źródle historycznym i historyczno-prawnym wydrukowało CPH (VII, 1955, 1). Po kilku latach żmudnych poszukiwań mogłem wreszcie zebrać ich wyniki w książce *Chłopskie posiadanie ziemi na Górnym Śląsku u schyłku epoki feudalnej. Posiadanie lassyckie*. Została opublikowana w 1959 r. i przyniosła mi tytuł docenta.

W tym czasie zająłem się też „drugą stroną równania”, opracowując tekst pt. *Własność feudalna i jej przemiany u schyłku epoki. Głównie na tle stosunków Europy Środkowej i ze szczególnym uwzględnieniem Śląska*. W tekście, drukowanym na łamach CPH (IX, 1957, 2) zaproponowałem m.in. rozróżnienie feudalnej własności ziemi i feudalnej własności praw. Propozycja nie znalazła wszakże – kto wie, może słusznie – uchwytnego oddźwięku.

H.O.: Potem przyszedł czas na teksty o historii ustroju Śląska.

K.O.: Zainteresowanie moje historią ustroju Śląska były nawet wcześniej, sięgały lat pięćdziesiątych, kiedy to Karol Maleczyński zaproponował mi napisanie krótkich ujęć tej problematyki dla późniejszych okresów w redagowanej przezeń *Historii Śląska*, która ukazała się pod egidą Instytutu Historii PAN. Zrobiłem, czego ode mnie oczekiwano, ale zadowolony nie byłem. Czegoś mi w tym brakowało, choć zrazu nie wiedziałem czego. Rzecz w tym, że nie miałem jeszcze konkretnych wyobrażeń o postaci, jaką powinna posiadać synteza, ani – tym bardziej – nie miałem przygotowania teoretycznego. Bakcyl jednak połknąłem, i zgodnie z nauką Mistrza skierowałem się „do źródeł”. Spędziłem parę miesięcy w Deutsches Zentralarchiv w Merseburgu, potem pewien czas w Czeskim Archiwum Centralnym w Pradze. Kwerenda była dla mnie trudna, a pierwsze jej wyniki nie odbiegały od rezultatów, jakie dla okresu po 1740 r., czyli po zajęciu Śląska przez Fryderyka II, uzyskał dawno temu Grünhagen. Sytuacja zmieniła się diametralnie dopiero wtedy, kiedy wziętem się za studiowanie sprawozdań składanych Hohenzollernom przez ich posłów na śląskie sejmy, najpierw z czasów, gdy władali lennami Krosna i Karniowa. Źródła były szczątkowe i pobieżne, ale obiecujące. Dlatego czym prędzej ściągnąłem z Drezna sejmowe sprawozdania nadsyłane elektorom z innych sejmów. Zaczął wyłaniać się nowy obraz ustroju Śląska. Wypełniałem go wciąż nowymi materiałami, m.in. w czasie kilkumiesięcznego pobytu w Pradze. Było tego tyle, że pojawiły się zupełnie zasadnicze problemy natury konstrukcyjnej, zwłaszcza, że szczupła literatura przedmiotu prezentowała się wręcz bałamutnie. Zacząłem więc znów pisać, do przysłowiowej „szuflady”; w ciągu dwóch lat powstał potężnych rozmiarów maszynopis, który – wciąż uzupełniany – stoi jeszcze na moich regałach. Do druku się nie nadawał, wymagał wciąż nowych obróbek, przede wszystkim zaś sięgnięcia wprost do źródeł. Bardzo wiele dały mi tutaj śląskie archiwa, zwłaszcza zaś ich tzw. Acta publica, zbiory sejmowych uchwał i ważniejszej korespondencji z lat 1526–1741, w tym przede wszystkim zbiór prowadzony przez radę m. Wrocławia, liczący sto opasłych tomów i mieszczący nieprzebraną kopalnię danych. Trzeba było doń zrobić indeks, trochę na wzór *Chronologii sejmów polskich* Władysława Konopczyńskiego. Każdy „zjazd książąt” (Fürstentag) czyli sejm został odnotowany na osobnej karcie, każda jego uchwała, każde zgromadzenie, które formalnie nie było sejmem, ale miało zasięg ogólnos Śląski. Dopiero takie wstępne przymiarki, liczne szczegółowe artykuły i prowadzone dyskusje, umożliwiły mi napisanie rozprawy *Ogólnos Śląskie zgromadzenia stanowe* (1979).

H.O.: Książka była wydarzeniem; recenzje były liczne i ciepłe. Nie ukrywano podziwu dla podstawy źródłowej. Wybitni badacze niemieccy, tacy jak

Helmut Coing czy Conrads podkreślali, że rzecz koniecznie trzeba przetłumaczyć na języki zachodnie.

K.O.: Do przekładu nigdy nie doszło. Nie zabiegałem o to zresztą. Czuję się zmęczony wieloletnimi poszukiwaniami. Potrzebowałem zmiany tematu. Wybór padł na słowo *terra* – ziemia, Land, pays – tak wszechobecne w średniowiecznych źródłach, tak ważne dla zrozumienia przeszłości nie tylko śląskiej, tak zarazem wieloznaczne i pogmatwane, że trudno mu było się oprzeć. Wziąłem więc pod lupę wszystkie drukiem wydane łacińskie źródła narracyjne i prawne z czasów do końca XIV w. i tak powstała „powieść w odcinkach” o znaczeniach tego słowa w tekstach małopolskich, wielkopolskich, śląskich, mazowieckich, pomorskich itd., zsumowana następnie w CPH (t. XXXV, z. 2) w studium *Terra w terminologii polskich źródeł do końca XIV wieku*.

Ostatnią wreszcie moją „miłością” stały się dzieje śląskiej skarbowości, która mnie zresztą zawsze fascynowała jako nieodzowny składnik ustroju Śląska. Owocem są m.in. trzy książki: *Katastry śląskiego podatku szacunkowego*, *Rachunki śląskich stanów* oraz *Podatek szacunkowy na tle systemu daninowego dawnego Śląska*, wszystkie obejmujące lata od 1527 do 1740.

H.O.: Zostałeś historykiem dziejów ustroju społecznego i politycznego Śląska, bo tu miałeś pod ręką źródła. Przystudiowałeś ogromną ich ilość, wykonałeś rzadko spotykany u badaczy kawał żmudnej pracy, którą pewnie niejeden by nazwał „czarną robotą”. Czy czujesz się historykiem prawa jednego regionu i niczym więcej? Przecież w bibliografii Twoich prac wiele jest tekstów, daleko wykraczających poza Śląsk, prac o grubej warstwie refleksji metodologicznej.

K.O.: Odpowiedź moja jest prosta. Dyrektyw czy w ogóle tzw. metodologii nigdy nie lubiłem i nie lubię. Ale interesują mnie metody a jeszcze bardziej sposoby uogólniania zjawisk, zwłaszcza takich, które by mogły wieść do syntezy. Na ogół we wszystkim co robiłem i pisałem, poszukiwałem właściwej typologii i systematyzowania, starałem się znajdować kryteria (czasem żenująco proste, np. wielki i mały), które by tym celom mogły najlepiej służyć. Nie wszystkim się to oczywiście podobało. Ale z drugiej strony: jak wiele w ten sposób daje się lepiej zrozumieć.

Jeżeli o te sprawy idzie, to teraz najsilniej zajmuje mnie uogólnianie. To wcale nie jest prosta rzecz. Punktem wyjścia jest zawsze źródłowy fakt, sprawdzony również w swojej wielości. Tymczasem „uogólnienie” to już sprawa zupełnie subiektywna, kwestia mojego odbioru, subiektywnej oceny, wartościowania itd. I gdzie tu jest złoty środek? Gdzie granica między bezspornością wyjściowych faktów i ogólnym obrazem, który przecież ja sam, na swój własny użytek tworzę? Granica, której nie wolno przekroczyć, bo dalej jest

już zakłamanie. Że niezamierzone? Ze czasami nieświadome? Wiele by mówić o tym.

H.O.: Przejdźmy do innego kompleksu spraw, do Twojego udziału w życiu społecznym i politycznym. Byłeś członkiem Chrześcijańsko-Społecznego Stowarzyszenia, z ramienia ChSS byłeś w latach osiemdziesiątych posłem na Sejm, rozwijałeś w nim żywą działalność. Uczniowie, którzy zestawili bibliografię Twojej naukowej aktywności, doliczyli się aż 88 Twoich wystąpień na forum Sejmu. Na konferencji, która odbyła się w 1993 r. w Sulejowie dla uczczenia pięćsetlecia polskiego sejmu dwuizbowego, broniłeś sejmu PRL jako instytucji, która nie zasługuje na potępienie w czambuł. Czy Kazimierz Orzechowski – polityk to ten sam Kazimierz Orzechowski, który lata całe spędzał w bibliotekach i archiwach? Czy uczony może skutecznie chronić się przed presją polityki?

K.O.: Polityka jako taka specjalnie mnie nie interesowała. Podobnie jak moi rodzice nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej, co oczywiście nie znaczy, że nie miałem swoich przekonań politycznych i opcji. Moi rodzice walczyli w obronie Lwowa, mój wuj wykrwawił się na śmierć pod Kostiuchnowką. Przed wojną sympatie mojej rodziny były proendeckie, tak samo moje. Wojenne przeżycia nieodwołalnie położyły im kres. Czas powojenny wymazał stopniowo wszelkie polsko-ukraińskie rankory. Dziś boję się ewentualnego powrotu dawnego agresywnego nacjonalizmu i ksenofobii. Nienawidzę rasizmu. Kto z nas jest „czystej krwi”? We mnie jest krew polska, niemiecka, ruska i ormiańska. I co z tego? Przecież już w XVI w. ktoś powiedział: „Gente Ruthenus sum”, co nie przeszkodziło mu dodać jednym tchem: „sed natione Polonus”. Tyle jeśli idzie o ideowe podłoże, na jakim mogłaby kształtować się moja ewentualna polityczna postawa i działalność.

Wspomniałeś o moim posłowaniu do Sejmu. Moja przygoda z sejmem PRL zaczęła się niewinnie, od referowania na zebraniach ChSS, niewielkiego ugrupowania tzw. „koncesjonowanych katolików”, papieskich orędzi w sprawie pokoju. To spowodowało, że znalazłem się na mandatowym miejscu w „wyborach” w VIII i IX kadencji. Przegrać nie mogłem właśnie dlatego, że miejsce było mandatowe. Początki mojego posłowania były trudne, by nie rzec – upokarzające, byłem tylko częścią „maszynki do głosowania”. Ale z czasem dostrzegłem, że wbrew wszystkiemu rozdziew między rządzącymi i zwykłym posłem nie był w praktyce tak wielki, jak wydaje się on niekiedy dzisiaj. Okazało się, że można tam wiele zdziałać, przede wszystkim w sprawach zwykłego szarego człowieka, a także w sprawach gospodarczych, często wybierając mniejsze zło. W sejmie uczyłem się i dojrzewałem; z przyjemnością czytałem listy, kierowane do mnie jako posła; oprawione ich tomy stoją u mnie na półkach do dziś. Ale tego nigdy nie traktowałem jako zaję-

cia równorzędnego z misją uczonego-badacza. Ktoś kto zawodowo zajmuje się polityką, prędzej czy później kończy się jako uczoney.

H.O.: Wielekroć wypowiadałeś się w swoich publikacjach i wystąpieniach na temat współczesnego Uniwersytetu i kształcenia prawników.

K.O.: Obie materie są sobie bliskie, a ściślej mówiąc wzajemnie się warunkują. To jak uczyć prawa zależy w decydującej mierze od tego, jak będziemy traktowali Uniwersytet. Ten ostatni musi umieć dotrzymywać kroku wyzwaniom czasu, ale zarazem dochowywać wierności tradycji. To nie *scientiarum universitas*, lecz *studiosorum universitas*, wspólnota łącząca – jak kiedyś – tych, którzy nauczają oraz tych, którzy są nauczani. Innymi słowy – w uniwersytecie to nie studenci są dla profesorów, lecz odwrotnie – profesorowie dla studentów. I studiujący muszą o tym wiedzieć, muszą naszą pomoc odczuwać. Co do kształcenia prawników: ofertę dydaktyczną trzeba wciąż wzbogacać, nie można pozostawać obojętnym na fakt, że powstają nowe działy obowiązującego prawa, że świat jest coraz większy a zarazem coraz mniejszy, że coraz liczniejsze obszary życia publicznego – wewnętrznego międzynarodowego – regulowane są normami prawnymi. Ale właśnie dlatego, że wszystko zmienia się tak szybko i coraz szybciej, należy wydobywać w dydaktyce to, co stabilne i trwałe, co jest rusztowaniem dla przyszłego prawnika, niezależnie od tego, na jakim stanowisku będzie pracował. Mam na myśli nie tylko dyscypliny teoretyczne, filozoficzne i historyczno-prawne, ale przede wszystkim podstawowe działy prawa pozytywnego, to co w nich najbardziej ogólne, sprawdzone i dlatego niezmiennie.

H.O.: W ostatnim czasie dotarły do mnie materiały konferencji zorganizowanej przez Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego (por. Humanizacja zawodów prawniczych a nauczanie akademickie pod redakcją Anny Turskiej, Liber, Warszawa 2002), z których wynika, że roli nauk społecznych i humanistycznych w studiach prawniczych nie można przecenić. Mądre referaty, interesujące choć i kontrowersyjne głosy w dyskusji są odpowiedzią na niebezpieczne tendencje, widoczne dziś w praktyce akademickiej. To uzasadnia pytanie, jak należałoby – Twoim zdaniem – ocenić stan dyscypliny i jak postrzegasz jej perspektywy?

K.O.: Sprawa ma dwa aspekty: przedmiotowy i podmiotowy. Zaczniemy od pierwszego. Po latach pracy nad źródłami i po przykrych doświadczeniach, kiedy to musiałem odchodzić od poglądów, na które wcześniej gotów byłem przysięgać, wydaje mi się, że historii ustroju i prawa nie wystarcza już dziś choć by najdokładniejsza faktografia, nawet najstarszemu poparta źródłami. Nie tylko dlatego, że – jak się słusznie mawia – wszystko już kiedyś było. Coraz intensywniej odczuwam brak uogólnień, zmierzających do teorii, przy

tym nie apriorycznych jakichś „typów idealnych”, lecz w pełni aposteriorycznych, opartych na obserwowaniu przeszłości. Na ich porządkowaniu i systematyzowaniu, na odróżnianiu tego co tak ogólne że aż nadrzędne, od tego, co wobec tamtych szczegółowe, osobnicze, tamtym podporządkowane. Staralem się tak postępować; trudno mi doprawdy samemu ocenić, na ile skutecznie. Natomiast martwi mnie podmiotowy aspekt sprawy. Młodzi ludzie zajmujący się historią prawa i działający w naszym otoczeniu często wydają mi się bardzo inni niż my sami byliśmy przed laty. Wiem oczywiście, że dzieło mnie od nich czas dwóch pokoleń i że zasadniczo zmienił się świat ze swoimi wyzwaniami. Kiedyś zaproponowałem bardzo interesującemu młodemu człowiekowi pracę w Katedrze. Zapytał o wysokość poborów i oferty nie przyjął. Rozumiem to nawet: jeśli się ma rodzinę, którą trzeba utrzymać, sprawy materialne nabierają zasadniczego znaczenia. Wiem, jak mało płacą Uniwersytety swoim młodym pracownikom. Jednak nie tylko o sprawy materialne tu chodzi. Widzę, w jak wielkim pośpiechu powstają doktoraty młodych adeptów naszych dyscyplin. Boję się, by nie byli „magistri unius libri”; podejrzewam, że wielu z nich traktuje doktorat jako trampolinę do bardziej lukratywnej kariery, która z uprawianiem nauki nie ma – rzecz jasna – nic wspólnego. Nauka bowiem jest jak zaborczo kochająca kobieta: wymaga wyłączności i absolutnej wierności; żąda, by oddać jej całego siebie i cały swój czas. Nie wydaje się, by ta myśl towarzyszyła młodym. Zwraca również uwagę, że tematyka dysertacji najczęściej mieści się w najbliższej przeszłości obejmując wiek XX, czasami XIX. Ich autorzy sięgają do źródeł urzędowych, z reguły drukowanych i w maszynopisach, produkowanych masowo i stosunkowo łatwo dostępnych. W związku z tym młodych nie widać w archiwach, a przecieź to archiwalia są właściwym światem dla historyka prawa. Prawdziwie kształcące są przy tym źródła średniowieczne: zmuszają do wysuwania hipotez, narzucają znajomość nauk pomocniczych historii (przede wszystkim paleografii), wymagają obcowania z łaciną. Wyjątkowo tylko pojawiają się dziś doktoraty i habilitacje z historii ustroju i prawa wieków średnich; inicjatywy edycji źródeł stają się rzadkością. Strach mnie oblatuje, gdy pomyślę, kto w przyszłości podejmie trud zakończenia krytycznej reedycji Volumina Constitutionum, albo kto wróci do gigantycznego zamysłu Oswalda Balzera – do wydania Corpus Iuris Polonici.

H.O.: To istotnie nader pesymistyczny punkt widzenia. Zastanawiam się, czy rzeczywiście jest aż tak źle. Przyznam, że moje własne doświadczenia, jako obserwatora działalności czynnych w środowisku seminariów i jako redaktora wydają się nie uzasadniać wszystkich czarnych perspektyw. Mamy liczne pokolenie bardzo zdolnych doktorantów, wśród których nie brak autentycznych pasjonatów szeroko pojętej historii prawa. A że nie przeważają wśród nich badacze średniowiecza...? Tu się zgadzam, ale czasy najnowsze też są mocno nie doinwestowane w nauce.

Chciałbym jeszcze prosić Pana Profesora o podzielenie się z czytelnikami danymi o bieżących zamierzeniach naukowych.

K.O.: Piszę *Historię ustroju Śląska*. Zacząłem ją pisać – jak o tym wspominałem – już w latach pięćdziesiątych. Wielokrotnie pracę przerywałem, ale potem zawsze do niej wracałem, bogatszy w doświadczenia i faktograficzną wiedzę, ale wciąż pełen rozterek i wątpliwości. Dawałem im wyraz w przyczynkach, publikowanych m.in., przez Ciebie w CPH. Wstępna redakcja wydaje mi się zaawansowana, bo została doprowadzona do XVI stulecia. Ale ciągle borykam się z kłopotami: ich sprawcą jest sama badana substancja, którą trudno porządkować. Rzecz ponadto w tym, że ramą dla badań historyka prawa jest państwo, państwo jako całość, „mój” Śląsk natomiast nigdy odrębnej politycznej struktury państwowej nie stanowił. Wciąż szukam tego, co usytuowane jest na styku z sąsiadami, co pozwala Śląsk wyróżnić jako całość, pokazać jego struktury na tle innych. Jak już nieraz bywało weryfikacji dla swoich pytań szukałem w dziejach śląskiej skarbowości. Niedawno przedstawiałem wyniki swoich dociekań na posiedzeniu jednego z Wydziałów Polskiej Akademii Umiejętności. Droga do syntezy całości wiedzie znów przez syntezy częściowe, oparte na własnych poszukiwaniach, ale w dużej na szczęście mierze już także na rezultatach badań prowadzonych przez moich byłych uczniów, zwłaszcza przez Mariana Ptaka, którego szczegółowe studia nad śląskimi księstwami są nieprzebraną skarbnicą wiedzy. Muszę jeszcze coś wyznać; gdy byłem młody, pisało mi się z dużą łatwością. Teraz jest zupełnie inaczej: zrozumiałem wagę słowa; pragnę, by moja synteza nie zawierała sformułowań ogólnikowych lub wieloznacznych, by była konkretna i dla czytelnika jasna.

H.O.: Od pięćdziesięciu lat jesteś związany z „Czasopismem Prawno-Historycznym”. Wniosteś doń wielki wkład jako autor rozpraw, studiów i recenzji. Ponad 40 Twoich prac zostało zamieszczonych na łamach CPH. Należysz do tych, którzy jako członkowie Komitetu Redakcyjnego kształtują profil i to, co można by nazwać polityką pisma. Czy mimo to chciałbyś na zakończenie naszej rozmowy podpowiedzieć coś, co mogłoby przyczynić się do podniesienia poziomu i atrakcyjności CPH?

K.O.: Ponieważ bieżące sprawy załatwiane są przez redaktora w trybie indywidualnych kontaktów oraz na plenarnych posiedzeniach Komitetu Redakcyjnego, ograniczę swą wypowiedź do jednej uwagi pochwalnej i dwóch postulatów, których wagę zresztą zawsze doceniano w redakcji. Podoba mi się, że wysoki na ogół poziom publikacji ogłaszanych na łamach CPH można pogodzić z tradycyjnie liczną obecnością w gronie współpracowników po-

szczególnych zeszytów autorów młodych. Czasopismo promuje i nobilituje tych, którzy rozpoczynają swą przygodę z nauką; tego osiągnięcia nie można przecenić. Postulaty zaś są mało oryginalne choć ważne. Oto marzy mi się trochę wyższy poziom krytycznych recenzji. Myślę też, że CPH mogłoby w wyższym stopniu stać się forum wymiany poglądów na wybrane zagadnienia, zarówno tkwiące w samym centrum naszych historyczno-prawnych dyscyplin, jak i graniczących z innymi dyscyplinami humanistycznymi i społecznymi.

H.O.: Dziękuję za rozmowę.